Nr. 2—3 We Lwowie, 1 lutego 1934 Rok 56



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO
WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI. SŁOŃ AFRYKAŃSKI.

(Ciąg dalszy)

Omówiwszy na wstępie sprawy dotyczące obu ras, cechy wspólne i różnice — powracam do słonia afrykańskiego, z którym pragnę czytelnika bliżej zaznajomić.

Wspominając już o jego ojczyźnie, miałem na myśli ów nie bardzo jeszcze odległy okres czasu, kiedy dostęp do wnętrza niezbadanych a tajemniczych krajów podzwrotnikowych Afryki był dla białego człowieka bardzo utrudniony, a pochód cywilizacji szedł jeszcze powolnym krokiem. Dopiero od lat pięćdziesięciu, nastąpiły nagłe i znaczne zmiany. Obszary, jakie dotychczas zaludniały nieprzeliczone ilości dzikiego zwierza — zajmował człowiek cywilizowany. Pod tym naporem zwierz ten albo ginął, albo usuwał się w głąb kontynentu — ku równikowi, tak od południa, jak i północy. Ten los musiał spotkać i słonia, z tą tylko różnicą, że jako bardziej płochliwy a z drugiej strony wytrawny wędrowiec — pierwszy opuszczał zagrożone terytorja. Niezaprzeczenie wyginęło ich wiele, ale i wiele ocalało. Stąd wyjaśnia się kwestja, że na okrojonej jego dzisiejszej ojczyźnie znajduje się ich więcej, aniżeliby spodziewać się należało.

Obecne granice jego rozmieszczenia geograficznego, mimo znacznego zaciśnienia — są i tak jeszcze bardzo obszerne. Cały pas Afryki między 10^0 północnej a 20^0 południowej szerokości — z uwzględnieniem pewnych wyszczerbień od strony morza, tak od wschodu, jak i zachodu — to jego dziś dominjum. Obszar ten, mierzący wiele miljonów kilometrów kwadr. posiada wszelkie warunki mogące zapewnić słoniowi swobodną egzystencję. Co więcej — to ich prastara centrala, skąd nadmiar słoni rozchodził się po całym kontynencie — to kraina wiekami dla penetracji ludzkiej zamknięta, kraina największych rzek i jezior, najwyższych gór i najrozleglejszych dziewiczych lasów — bardzo mało zaludniona.

Zdawałoby się, że spokoju słonia nic nie zakłóciło, tembardziej, gdy wprowadzono pewną jego ochronę, z ograniczeniem polowania nań tylko na dozwolonych terenach.

Ale słoń, jak już nadmieniłem, jest wędrowcem, i to wędrowcem na dalekie przestrzenie. Z kraju do kraju — dążąc znanemi szlakami — przemierza setki kilometrów, zatrzymując się tu lub tam — dłużej lub krócej, stosownie do obfitości pożywienia i wody, a wreszcie tam, gdzie ruch ludzki jest najmniej drażniący.

Tymczasem na obszarze, na którym mu dziś obracać się przychodzi, zaszły w ostatnich latach nowe, niepokojące go zmiany. Oto z dnia na dzień zaczyna się rozwijać sieć komunikacyjna, przecinająca jego dominjum wzdłuż i wszerz drogami i kolejami, linjami okrętowemi — a nareszcie i samolotowemi. Dalekie jego wędrówki doznały poważnych przeszkód. Ciągłe spotykanie się z ludźmi,

autami, pociągami i łodziami parowemi, drażni go więcej, aniżeli polujący nań myśliwy, choć następuje mu na pięty. Obawia się myśliwego, ale może go wyminąć, stracić z oczu, wreszcie o nim zapomnieć, ale tej sieci, którą oplątano cały kraj, ani wyminąć, ani zapomnieć nie może. — Niesie mu ona wszędzie, gdzie się tylko ruszy — znienawidzony hałas i woń człowieka i zmusza do powrotu do tych kryjówek, dokąd ani terkotanie samochodów, ani sapanie lokomotyw, ani gwizdy syren parowych nie dochodzą. Mimowoli koncentruje się na pewnych terenach; wędrówki jego zostały ograniczone.

Słoni jest jeszcze stosunkowo dość. Największe ich zgrupowania znajdują się w okolicach dolnego i środkowego Nigru, w basenie Konga, nad środkową Zambezą, między ramionami białego i niebieskiego Nilu, w obrębie wielkich jezior środkowo-afrykańskich — i w okolicach gór, jak Kamerun, Ruwenzori, Kenia i Kilimandżaro — a także w samych górach. Jaki jest ich stan liczebny — trudno określić, nawet w przybliżeniu. Ale że jeszcze przed kilku laty był wcale dobry, sądzić można z ilości kości słoniowej, wywożonej z Afryki rok rocznie na rynki światowe. A działo się to już w czasie, gdy obowiązywały pewne obostrzenia w polowaniu wogóle, a na tego gruboskórca — specjalnie, i istniały rezerwaty z zupełną ochroną wszelakiego, dziko tam żyjącego zwierza.

Dla przykładu posłużą cyfry.

Raport urzędowy, sporządzony na podstawie list giełdowych jednego tylko Londynu, jako rynku zbytu kości słoniowej — zą lata 1919—1924 podaje, że rocznie oferowano (cyfr pojedyńczych nie wymieniam) w ciągu sześciu lat — łącznie po 632½ tony (ang.) kości słoniowej pochodzenia afrykańskiego. Licząc na słonia po 100 funtów (oba kły), jako najwyższą przeciętną — otrzymamy ilość słoni, które na powyższą wagę kości się złożyły — w sumie 6.325 osobników, czyli zwyż 1000 słoni rocznie. A gdzież są inne rynki, tak europejskie jak i indyjskie? Zwłaszcza te ostatnie, dokąd idzie wielka ilość kości z Afryki wschodniej, eksportowanej przez Hindusów i Arabów.

Jeżeli sięgnąć do innych cyfr, podanych przez Min. Kolonji w Brukseli*) z roku 1924, to zobaczymy, że w roku tym wywieziono z Konga 297.454 kg kości słoniowej (czyli około 600 tonn wagi ang.) — co kosztowało życia conajmniej 6.000 słoni. — W jednym roku i z jednego tylko obszaru Afryki równikowej!

Nie będzie zatem przesadnem twierdzenie, że w ostatniem dziesięcioleciu padało w Afryce conajmniej po 10 tysięcy sztuk rocznie.

Mimo wszystko, jestem przekonany, że nawet obecny stan słoni nie jest tak rozpaczliwy, aby trąbić na alarm**). Uwzględniając okoliczność, że w powyższym czasie nie strzelano samic, a te musiały dać pewien procent w przyroście naturalnym — okazałoby się, że stan co do ilości słoni bardzo się nie zmniejszył. Natomiast ubyło dużo starszych i najstarszych samców, które najbardziej nęciły myśliwego, a na nowe pokolenie trzeba czekać conajmniej pół wieku. Przyjdzie więc chwila, że polowanie będzie musiało ustać — chyba, że zezwolą władze kolonjalne na odstrzał starych samic, często już niepłodnych, aby wyrównać stosunek obu płci.

Mówiąc o tym stosunku, trzeba stwierdzić, że nie posiadamy danych, jak ten stosunek ma wyglądać. Wiemy wprawdzie, że słoń żyje w poligamji — w stadach, jednak jak stado w normalnych warunkach się przedstawia, o tem żaden myśliwy nic stanowczego powiedzieć nie może. Przypuszczać należy, że ilość samic powinna wielokrotnie przewyższać liczbę samców w zwykłych warunkach. Gdy dodamy do tego tę nadwyżkę samic, która powstała już w dawnych czasach, przeważnie bowiem strzelano samce, to ilość żeńskich osobników powinna być dziś przetłaczająco większa. Ale taka dysproporcja musiałaby wpaść w oczy myśliwym, którzyby ten fakt niechybnie zanotowali. Tymczasem na tym punkcie panuje dotychczas cisza.

Czy może u słoni rodzi się więcej potomstwa męskiego, aniżeli żeńskiego? Czy poligamja nie jest tylko pozorną, a pożycie w stadach układa się według odmiennych form, niż te, jakie obserwujemy u innych zwierząt?

To wszystko nie jest jeszcze dokładnie poznane.

Z własnych moich spostrzeżeń mógłbym tyle tylko powiedzieć, że samców jest chyba tyle, co samic. Niestety są spostrzeżenia te tak skąpe i tylko w jednym kraiku zrobione, że nie są całkiem miarodajne. Podaję je tutaj jedynie z obowiązku reporterskiego.

Otóż z pomiędzy zaobserwowanych przezemnie podczas polowania stukilkunastu sztuk słoni, które albo okiem lub przez szkła dokładnie rozróżnić mogłem — stwierdziłem stanowczą przewagę osobników męskich. Co więcej — w jednem stadzie, złożonem z jedenastu sztuk, były same samce, w drugiem również o tej samej liczbie osobników — dziesięć samców i jedna stara samica bez kłów.

Natomiast z tropów świeżych sądząc, które przy pomocy tropiciela-tubylca dokładnie badałem, miałem rezultat przeciwny, t. j. znacznie więcej samic i często matek z małemi, ale za to równocześnie stwierdzałem w tej samej okolicy obecność samców, chodzących bądź w pojedynkę lub w małych grupkach; to mię zupełnie dezorjentowało.

Były to przeważnie młode samce — jak ich tu zwaliśmy — czterdziestolatki, zaś starszych egzemplarzy nie spotykałem.

Na ogół w mych wyprawach łowieckich tylko dwa razy zetknąłem się ze starszemi egzemplarzami samców. Oba były w pojedynkę. Jednego nie dostałem na strzał, drugi, ciężko postrzelony — umknął i mimo długiego pościgu, nie dał się zaskoczyć.

Jeżeli wyżej poruszyłem stosunek liczbowy obu płci, który nie jest jasny, to muszę również omówić stosunek ich wzajemny, we właściwem znaczeniu, jako jeszcze bardziej zagadkowy.

Najbardziej intymne momenty rozgrywają się w niedostępnych matecznikach. Nie łatwo tam dostać się białemu człowiekowi chociażby z tego względu, że tubylcy nie chcą ich wskazać myśliwemu, ani też służyć mu za przewodnika. Czynią zaś to — albo ze względów ego-

*) Antoni Dębczyński: 2 lata w Kongo.

**) Jeszcze w r. 1925 podawano stan słoni w prowincjach — Kenja, Tanganika — na pół miljona sztuk (Major Dugnoze: The Wonderland of Big Game), która to cyfra, jak przypuszcza wyżej Dugmore, nie była wzięta z powietrza; że ich tyle być mogło na całej przestrzeni Afryki równikowej — to niewątpliwe.

istycznych, jeśli są sami myśliwymi — albo dla zabobonu, który im jakoby zabrania naruszać spokoju słoni, w czasie ich intymnej koncentracji. Gra tu także rolę obawa spotkania się z rozjuszonymi lub w bójce ranionymi samcami, bo wtedy o nieszczęście nie trudno. To też o przebiegu godów weselnych i towarzyszących im okolicznościach, od czarnych nic się nie dowie, zaś biały człowiek nie znalazł dotychczas sposobności, aby tę tajemnicę rozjaśnić.

Szczególnie zagadkowy dla przyrodnika akt kopulacji, był dotychchzas przedmiotem domysłów. U słoni dzikich aktu tego nikt nie podpatrzył, zaś co do słoni przyswojonych (indyjskich) — widocznie do takich momentów nigdy nie dochodziło, skoro zrodziła się powszechna opinja, że słoń w niewoli się nie rozmnaża.

Dopiero w ostatnich czasach kilka odosobnionych faktów urodzin słoniąt w zwierzyńcach, mogło rzucić pewne światło na tę kwestję. Wspomina o tem ogólnikowo autor dzieła „Das Tier in Bild" Dr. Adolf Hilborn*).

Pora godów weselnych, względnie rui — to dalsza zagadka. Również okres ciąży u samic, karmienie i wychowanie młodego potomka — wymaga jeszcze ustalenia.

Burowie obliczali ciążę na 18—20 miesięcy, co pokrywało się mniej więcej z tem, com słyszał już dawno od myśliwych Europejczyków. Ich zdaniem samice rodzi jedno młode — i to raz na lat dziewięć.

Obecnie przyjmują przyrodnicy okres ciąży na 20—22 miesięcy. Okres karmienia nieustalony. Przyjąć jednak można, że pewnie nie jest krótszy, raczej dłuższy. Gdy to weźmiemy pod uwagę, to od czasu rui mijają prawie cztery lata — a słoniątko jest jeszcze tak niedołężne, że opuszczone przez matkę, musiałoby zginąć. Ale mama słonia, to najtroskliwsza z matek. Nie odstąpi maleństwa ani na chwilę, zanim nie uzyska ono zupełnej samodzielności.

Po skończonem karmieniu, przychodzi czas nauki pobierania pokarmów stałych. Nie idzie to łatwo, bo słoniątko nie ma jeszcze wykształconych zębów trzonowych i twardszego pożywienia nie strawi. Potrzebuje miękkiej i soczystej paszy. Wiadomo jednak, że w Afryce tylko w porze deszczowej zielenią się trawy i to tylko do chwili dojrzewania. Później wysychają, twardnieją i stają się nieprzydatne dla młodego słoniątka. Aby zieloną dlań paszę znaleźć, musi matka ciągle wędrować. — Od strumienia do strumienia, od bagna do bagna, nad brzegi rzek i jezior, gdziekolwiek ona się znajduje, zwłaszcza w porze suchej, kiedy nawet większość drzew potraciła liście. Słoniątko rośnie powoli, a choć z biegiem czasu zęby się wzmocniły i mogłoby już twardsze pożywienie pożreć, ale samo nie wszędzie do niego się dostanie. — Więc korzysta dalej z pomocy matki, która obłamując gałęzie, lub naginając grubsze konary — w tem mu pomocną być musi.

Tak schodzą lata. Młodzik je już wszystko. Wie, gdzie znaleźć odpowiednie pożywienie i jak się do niego dobrać. Zdawałoby się, że już nic nie stoi na przeszkodzie, aby je zostawić własnemu losowi.

Niestety tak nie jest. Kilkuletnie słoniątko jest jeszcze za wątłe, aby się samo obroniło przed drapieżcami. Dobrze podpasione, to nielada kąsek dla lwa, lamparta lub psów stepowych. Tylko bezpośrednia opieka matki, może mu zapewnić bezpieczeństwo.

*) Elephanten begatten sich nach Art der Pferde.

Dopiero gdy u młodego słonika ostre kiełki poza wargi wyszły, gdy nabrał postawy i siły, że drapieżce z nim liczyć się muszą, — wtedy może go matka opuścić.

Słonik taki liczy wtedy sześć do siedmiu lat.

Jeśli te momenty uwzględnimy — to okazuje się, że poglądy Burów — jakoby samica rodziła raz na dziewięć lat, mają wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

Samica wydaje na świat jedno tylko młode, jakkolwiek urodzenie także bliźniąt — tak jak u ludzi — nie jest wykluczone.

Przyrost naturalny jest — jak widzimy — bardzo słaby, względnie bardzo powolny. (C. d. n.).



STANISŁAW KORWIN-MILEWSKI

Niemiłe przygody

(Dokończenie)

Podczas „Wielkiej wojny", stacjonowany w Rzeszowie oficer austrjacki, dobry myśliwy i doskonały strzelec, ubił na zasiadce w Bratkowicach z brzaskiem dnia dwie chłopskie szkapy, w przekonaniu, że strzela do dzików. I choć to wygląda na groteskę, — proszę mi wierzyć, że to nie żadna łacina myśliwska i wszyscy rzeszowscy myśliwi znają ten wypadek, a był on zupełnie możliwy, gdy się zważy, że strzelone konie były to chłopskie szkapy, o stojących gęstych nieczesanych nigdy grzywach, a w chwili strzału pasły się w rowie na dużej łące wśród gęstej mgły. Niewyspany i zahypnotyzowany oczekiwaniem dzików myśliwy, wygarnął do tych szkap silnie przekonany, że strzela do dzików i wygarnął celnie. — Fatalna pomyłka.

Byłem świadkiem arcyniemiłego spotkania z lisem na polowaniu w Rudnej, dnia 14 listopada 1916 r. Do kotła dostał się mykita. Widok był paradny, gdy się obserwowało na dużej przestrzeni manewry szalenie przerażonego lisa, który to się zbliżał do otaczającego go pierścienia myśliwych i nagonki, to się ku środkowi kotła oddalał. Częste i gęste do niego padały strzały, jednak bez rezultatu, bo szelma nigdy nie zbliżył się na odległość śrutowego strzału. Raptem na oślep sunął przez otaczający go pierścień; — huknęły do niego i za nim cztery nieszkodliwe strzały — lis wiał jak szalony do lasu i niefortunnym strzelcom kłaniał się przez dłuższy czas kitą. Dokładnie to widziałem.

Raz na jednem polowaniu w r. 1917 w rewirze obfitującym w lisy, cieszyliśmy się specjalnie na nie. Byli na tem polowaniu pierwszorzędni myśliwi, strzelający i śru-

tem i kulami klasowo. Rezultat polowania: trochę zajęcy i siedem lisów chybionych. Jak pech to pech — miłe wspomnienie.

Dnia 19 grudnia 1918 r. na ślicznem polowaniu w Zaczerniu u mego kuzyna, delegata, Jana Jędrzejowicza, strzelałem do potężnego dzika. Dzik szedł ostro, ale już ostrzej idące rulowało się nieraz. Jakież było moje zdziwienie, gdy dzik po pierwszym strzale nic, po drugim nic, farby najpierw żadnej, potem słaba, a rezultat, że przepadł. Do dzisiaj dnia zupełnie nie rozumiem, jak się to stało. Wstrętna, ohydna przygoda.

Mój szwagier Stanisław Tyszkiewicz, wybrał się w Rudnej dnia 8 sierpnia 1921, ze swoją żoną i ze mną na podjazd na rogacza. Dojeżdżając do dużych łąk wśród lasów rudzieńskich, spudłował bez powodu w doskonałych warunkach łatwego rogacza. W pięć minut potem zabił na łąkach fenomenalnym strzałem, naprawdę po mistrzowsku, w najtrudniejszych warunkach tęgiego dzika, którego tam się nikt nie spodziewał. Ten sam myśliwy, ta sama doskonała broń, a jakaż różnica strzałów. Oczywiście niemiłe dla szwagra wspomnienie, bo mógł mieć śliczny rezultat. Rogacza i dzika w kilka minut na podjeździe.

Na jednem przepięknem polowaniu w sezonie 1921/22, na którem padło w 10 strzelb przeszło 200 sztuk, ja nietylko, że nie strzelałem, ale nie widziałem wogóle żadnej zwierzyny. No tak, — ale gdy jechałem na polowanie i już siedziałem na wózku, okropne jakieś babsko, czy zgoła wiedźma jakaś, życzyła mi „dużo szczęścia". Trzeba było wcale nie jechać!

Na polowaniach, które urządzałem, nigdy nie było za wiele strzelb, — polowaliśmy zawsze w kilku. Raz tylko tak się okoliczności złożyły, że było u mnie tych strzelb zadużo. Ruch, zgiełk, kanonada ogromna, a rezultat oczywiście bardzo słaby, bo do tego samego biednego szaraczka kropiło dwóch lub trzech myśliwych, jeden drugiemu przeszkadzał i wszyscy musieli być wściekli, a kilku weredyków nie oszczędziło mi swych słusznych wymówek. Nauka moralna: nie robić z polowań ani odpustów, ani jarmarków, ani smutnej pamięci suwerennego sejmu.

Wybrałem się raz w Rudnej w 1924 r. na podjazd na rogacza w towarzystwie mej kuzynki Zofji Dąmbskiej, dzisiejszej Stefanowej Dąmbskiej i panny Marji Kownackiej, wnuczki słynnego łowca p. Kazimierza Marmarossa. Niedaleko leśniczówki zjechaliśmy ładnego szóstaka. Zeskoczyłem z wózka i zupełnie spokojnie strzeliłem. Rogacz po strzale wywalił się za krzakiem. Gdy podeszliśmy do niego — raptem zerwał się i zaczął uchodzić w gęstwinę. Silnie zdenerwowany strzeliłem drugi raz za uchodzącym, ale baz rezultatu. — Rogacz zniknął nam wkrótce w silnie podszytej drągowinie. Gdy tam ostrożnie za nim podążyłem, spostrzegłem go, jak stał zgarbiony koło sosenki. — Strzeliłem trzeci raz i wtedy rogacz już definitywnie zrulował. Gdyśmy go oglądali okazało się, że pierwsza kula 6.5 mm Schönauera trafiła go daleko za komorę (a więc w miękkie) druga całkiem chybiła, a dopiero trzecia była dobrze umieszczoną na łopatce. Rogacz ten został właściwie ordynarnie „zakatrupiony", a tak mi zależało wtedy, na tem, by moim towarzyszom pokazać ładny strzał kulowy. Co było powodem, że ta pierwsza kula tak fatalnie była umieszczoną, nie wiem, bo pierwszy strzał dałem spokojnie, i najzupełniej opanowany. Właściwie bardzo niemiła przygoda łowiecka.

Na ostatniem „pożegnalnem" polowaniu, jakie urządziłem w Rudnej przed oddaniem tego rewiru w sezonie 1924/25, t. j. dnia 31 stycznia 1925 r. (na gminnych polach w Rudnej Wielkiej, dziś obwody łowieckie wspólne Rudna Wielka i Pogwizdów Nowy), powinno było paść w normalnych warunkach klimatycznych kilkadziesiąt szaraków. Skutkiem fatalnej aury, bo cały dzień lał

TYTUS KARPOWICZ

Kłusowniczy łów

(Z cyklu: Kłusownik).

Parna, letnia noc...

Niebo skrzy się od niezmiernej ilości srebrzystych gwiazd... Las stoi ciemny, tajemniczy... Kędyś dołem, gąszczami, płynie cichy szept, niby dech ziemi, niby nocny chorał stworzenia... Pozatem — cisza... Pełne aromatycznych woni powietrze, swobodnie, szeroką falą, płynie do spragnionych płuc... Atmosfera jest swojska, radosna a jednak zarazem dziwna, pełna czających się na każdym kroku niespodzianek...

To letnia, elektryzująca wszelkie stworzenie noc, brzemienna w tajemnice, panuje nad światem. Dziwnym swym nastrojem wprawia w drzenie każdy fibr duszy ludzkiej... Coś szepce gorącemi ustami stygnącej ziemi, jakieś słowa upojne, kochane...

Srebrne oczęta szafirowych niebios zdają się mrugać zalotnie... Nad szczytami prastarych drzew, wolno, cichutko płynie sierp księżyca... U stóp dębów-olbrzymów, pamiętających dawne, dawne czasy, pluszcząc o podmyte korzenie, szemrze leśna struga... Zdaleka, od łąk dolatuje monotonna piosnka niewybrednego derkacza...

Śród drzew, brzegiem polany, idzie wolno zgarbiona postać... Strzelba przez ramię, torba u boku — jakiś myśliwy. Wolnym, wytrawnym krokiem łowcy dąży naprzełaj przez gąszczary... — Czasami zaszemrze trącony krzak, czasami subtelnie, ledwo dosłyszalnie, trzaśnie złamana stopą gałązka...

Pozatem nic nie mąci ciszy. Noc nieodpowiednia na kłusowniczy łów, cicha, dźwięczna, każdy szmer daleko słychać... Ale — co robić? Nędza, dzieciska w chacie piszczą, jeść chcą... Skrada się więc zdradziecko, cichaczem, jak dziki, zgłodniały zwierz, czyhający na łup...

Daleko na bagnach huczy bąk; skrył się gdzieś w morzu trzcin i sterczący z nich, jak rudawy kołek, dudni grubo, posępnie... Nad sośniakami krążąc, żałośnie wabi lelek...

Coś łkać poczyna w duszy starego myśliwca. Jakaś rzewna nić smutku oplątuje jego serce, coś, jakby poczucie własnej winy nie daje mu spokoju... Czuje się upokorzony na duchu... Toczy ze sobą walkę...

— Dlaczego dawniej las był Boży i wszystko, co

deszcz strumieniami, pogonka niedopisała, myśmy licho strzelali, a zające dziwnie dobrze umiały się wykpiwać. W rezultacie zamiast preliminowanych kilkudziesięciu szaraków, padło w sześć strzelb tylko 28 zajęcy. Dziś się mówi o tem, „z humorem", — wtedy wszyscy byli „bez humoru", — zmoknąć, sponiewierać się i nic prawie nie strzelić, to się nazywa także „przyjemność".

Grasował raz u mnie w jednym rewirze zuchwały i przebiegły kłusownik. Walczyliśmy z nim zawzięcie, o ile na taką walkę nieudolne przepisy łowieckie nam pozwalają. Św. Hubert był jednak widocznie dla naszej sprawy łaskawy, bo wreszcie przetrzepany i nadwerężony nieco kłusownik stanął przed obliczem naprawdę srogiego sędziego, który mu gruntownie zaaplikował sprawiedliwą karę. Wybierałem się właśnie na prześliczne polowanie na dziki, gdy woźny sądowy przyniósł mi wezwanie na termin przeciw temu kłusownikowi. Oczywiście z polowania zrezygnować musiałem, bo ten kłusownik był dla mnie najważniejszą zwierzyną. Tak to jeszcze w kajdankach, zemścił się na mnie srogo kłusownik, pozbawiając mnie spotkania z dzikami.

Przez pewien czas gospodarowałem w Strzałkach w pow. bobreckim, w majątku pani Izy Czarkowskiej-Golejewskiej. W prześlicznej kniei strzałeckiej były dziki prawie stałymi mieszkańcami. Polowanie należało do p. Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego, który raz po raz tam przyjeżdżał i polował na dziki, albo sam, albo w kilka strzelb, zwykle z dobrym bardzo rezultatem. Ale raz zdarzył się tam taki „pech", że niesposób dzisiaj o nim nie wspomnieć, gdy o niemiłych opowiadam przygodach. Pan Ordynat Czarkowski przyjechał niespodziewanie do Strzałek na dziki, przywożąc ze sobą jednego ze swoich kuzynów. We dworze strzałeckim zastał mnie i mego ciotecznego brata Jerzego Dąmbskiego z Wałycza i oczywiście zaprosił nas najuprzejmiej na dziki. Choć dusza zawsze do kniei się rwała, jednak tym razem nie mogliśmy obaj z zaproszenia tego skorzystać, bo Jerzy Dąmbski przyjechał do mnie „bezbronny" — ja zaś broń oddałem właśnie we Lwowie rusznikarzowi do remontu. — A jednak złośliwy djablik sprawił, że i tak mieliśmy wtedy wziąć udział w polowaniu i zasypać się gruntownie. Pan Czarkowski dostał przed samem wyruszeniem do lasu tak gwałtownej migreny, że musiał zrezygnować z łowów i odstąpił mi najłaskawiej swój doskonały drylling. Dryllingiem tym mieliśmy się dzielić z Jerzym Dąmbskim w kniei. W pierwszym miocie przypadł Drylling mnie w udziale, a Jerzy Dąmbski uzbroił się w stary karabin ówczesnego leśnego ze Strzałek, Bazylego Babija. Ja w tym miocie nic nie widziałem, a dziki w ilości kilkunastu sztuk wyszły sznurkiem oczywiście na mego kuzyna, który ze swego koromesła nic absolutnie zrobić nie mógł i wypudlił kilkakrotnie do dzików dokumentnie. Po skończonym miocie, był biedaczysko tak zirytowany tą arcyniemiłą przygodą, że rzucił karabin o ziemię i chciał uciekać z lasu. Oczywiście odstąpiłem mu zaraz doskonały ordynacki drylling, a sam przejąłem koromesło w posiadanie. I proszę sobie wyobrazić, że ledwo pogonka ruszyła, a tu wyszły na mnie trzy duże dziki i stanęły na dziesięć kroków od mego stanowiska. Z dryllinga można było tu łatwo zrobić dublet, a może nawet zmieniwszy kulę, tentować jeszcze strzał i do trzeciego dzika, — z koromesła leśnego ja wogóle strzelić nie zdołałem, bo rozpaczliwe szarpanie za cyngiel strzału nie spowodowało. Dziki spokojnie przeszły koło mnie i znikły w gęstwinie leśnej, a ja miałem wrażenie, że ryczą z nas ze śmiechu. Kuzyn pana Ordynata także nie miał w tym dniu łaski naszego Patrona, aczkolwiek i on miał spotkanie z dzikami. — To się już nazywa arcyniemiłe wspomnienie.

Miałem swego czasu polowanie w rewirze „X", które za kilka miesięcy miało przejść w inne ręce. Polując na rogacze, dziwiłem się szalenie, że na kilku ślicznych zrę-

---

w nim, Boże? Dlaczego wolno było wszystkim polować, dlaczego chorej żonie i dzieciom nikt nie przeszkadzał otrzeć łez?!..

— Hej, dawne, drogie, kochane czasy! Gdzie wy, czyż nie wrócicie nigdy?!

— Wszak w takiej sytuacji najbardziej zacny z ludzi może zejść z prawej drogi! I nie wiem, co mam czynić — toczę ze sobą walkę... Kocham nad życie rodzinę... Nie mogę znieść widoku jej nieszczęścia... — Cierpię, biję się z myślami, jak ta świeżo wyłowiona ryba o nadbrzeżny piasek... Ciężko mi, och, jak ciężko!...

Przeróżne uczucia rozpierają pierś dążącego lasem myśliwca... Ojcowska miłość walczy z poczuciem honoru uczciwego człowieka i obywatela, winnego posłuszeństwo prawu. Uczucie pierwsze, jako rdzenniejsze, bardziej naturalne, tkwiące głębiej w usposobieniu ludzkiem zdaje się zwyciężać...

Jakże wiele kosztuje taka walka, jakby już rad z tem wszystkiem raz skończyć, tylko, że żona..., tylko, że te kochane, drobne dzieciska...

Już tak zwykle u ludzi bywa, że powzięta po dłuższej walce duchowej twarda, stanowcza decyzja — czy będzie dobra, czy zła — daje zawsze człowiekowi chwilę spokoju, częstokroć robiącego pozory martwoty. To samo z nieszczęsnym ojcem... Uspokoił się, opanował, zdaje się być całkowicie zrównoważonym człowiekiem. Milczący, zgarbiony, wlecze się naprzód...

Chuda jego postać, odziana w szarą, wypłowiałą kurtę, przewija się ledwie widocznie dla oka wśród drzewnych kolumn...

Puszcza stoi ciemna, jakaś groźna... Zieje czernią nocy z ponurych czeluści międzypiennych, wytrzeszczających do inintruza swe wielkie oczy... Pomroka w niej panująca wprost straszy, odpycha... Po ciele myśliwego przebiega dreszcz dziwnej, nieopisanej zgrozy...

Drży... Dlaczego? Sam się dziwi... On, znający od dziecka ten las, obecny w nim prawie codzień, on — drży?!... Czyżby się lękał? Czego?... Czuje, że jakaś mściwa dłoń dławi go za gardło... Ogarniać go poczyna niewytłumaczona niemoc...

Nad lasem płynie księżyc. Srebrnem spojrzeniem przenika przez spięte u góry korony wybujałych pni drzewnych, przekrada się przez rozrosłe krzewy... Litośnie, tkliwie, jak matka, składa cichy pocałunek na umęczonej głowie kochającego rodzinę ponad swój honor — ojca... Potem wolno i cicho, jak przyszedł, odchodzi i ze smęt-

bach nic literalnie spotkać nie mogłem. Dopiero w dłuższy czas po oddaniu rewiru dowiedziałem się, że leśniczy szantażysta, który miał powody nie nosić mnie w sercu, kazał leśnym spacerować z psami po zrębach przed mojem tam przybyciem. Gdybym to był wcześniej wiedział! Sympatyczny personel i sympatyczne polowanie.

Polowałem późną jesienią 1929 r. na rogacza, u mego kuzyna Jerzego Dąmbskiego w Wałyczu na Pomorzu. Trzy podjazdy nie dały rezultatu, bo nic godnego strzału nie spotkałem, chociaż stan sarn jest tam bardzo piękny. Na czwartym podjeździe widzę tęgiego w ścierwie rogacza. Że rogacz, niemam ani przez chwilę wątpliwości, ale parostków dokładnie zobaczyć nie mogę, bo tak stoi, że te zakrywają mu gałęzie niedużego krzaka. Patrzę, przez doskonałą lunetę i przez nią wydaje mi się, że ten rogacz jest bardzo porządnym szóstakiem. — Strzelam — wali się bardzo słaby rogaczyk. Jakieś gałązki krzaka wziąłem widocznie za część jego rożków. To się nazywa „prawdziwy pech na podchodzie".

Są i „pechowne" rewiry. Raz jeden z moich znajomych myśliwych wygarnął na podjeździe do kozy z dodatnim niestety rezultatem. Co się stało, że i adjunkt lasowy, który mu towarzyszył i on sam widzieli u strzelanej sztuki parostki, a ubili kozę, nie wiem. Napewno jakiś zły duch leśny spłatał im takiego figla — i jak tu w przesądy nie wierzyć! Oni twierdzili potem, że w chwili strzału koza wysunęła się przed strzelanego kozła. — Przyjemne.

W tym samym rewirze, drugi dobry myśliwy strzelał do zająca silnie przekonany, że strzela do... wydry! To się już nazywa szczyt gorączki. Niesłychane a jednak prawdziwe.

Niemiłe przygody! — No, ale już dosyć, aby ktoś znudzony nie powiedział snadnie: niemiła lektura.



JAROSŁAW HUBÁLEK

Czubuś — jarząbek

(Dokończenie)

Raz ujrzał w tem towarzystwie psa i powziął doń odrazu nienawiść. Kręcił się ów pies wciąż po lesie i Czubuś myślał, że jest głodny i szuka pożywienia. On jednak nie zerwał ani jednej trawki, ani jednej jagody, tylko pogonił i o mały włos nie chwycił zająca. Doszedł więc do wniosku, że pies jest niebezpiecznem stworzeniem, choć po drzewach nie chodzi i skrzydeł nie ma, za to denerwował go tem wiecznem myszkowaniem po lesie. — Przytem cieszył się widać wielkim autorytetem w stadzie, skoro potrafił nawet największą krowę nawrócić z drogi i zagnać do stada. Biegał bardzo szybko i goniąc, wydawał z siebie krótkie, głośne wykrzyki. Raz nawet widział Czubuś, jak wielki jeleń, z mocnemi groźnemi rogami, umykał co sił przed tym gałganem. Może to ten właśnie największy wróg wszelkiego tworu leśnego, o którym mówił kiedyś ojciec? Może to samo wcielenie prawa puszczy? — Przypuszczenie to rozwiało się po następującej przygodzie.

Co tylko był Czubuś spożył śniadanie, popił wodą z potoka i poleciał do wysokiego lasu. Z korony drzewa widział pastuszka z trzodą na łące — bez psa. Od strony wsi szedł człowiek, którego już parę razy spotkał w lesie. W jednej ręce trzymał kij, z ust puszczał gryzący dym, a na plecach niósł jakiś błyszczący przedmiot. Co to jest i dlaczego to człowiek nosi ze sobą, tego Czubuś nie wiedział. — A człowiek doszedł na sto kroków, na odległość, której Czubuś mimo całej nieraz ciekawości, nigdy nie skracał. Już szykował się do odlotu, gdy z głębi lasu doszedł go wstrętny głos psa. Usłyszał głos ten i człowiek,, wyjął bowiem z ust dymiący przedmiot, zatknął

kiem na licach udaje się w dalszą podróż po bezmiarach niebieskich przestworzy...

Gdzieś w borze ptaszynka przez sen żałośnie kwili, u stóp zadumanych olch psalmy nocne szepce lśniąca w poświacie miesięcznej struga... Nic pozatem. Zewsząd wyziera tajemnica... Coś się czai, coś czyha...

Skrajem polany stąpa myśliwy, mija gąszcze zbitych, zrośniętych z chmielem kalin... Wytęża wszystkie zmysły, bo już dobija po tylu trudnościach do celu, a w takich momentach człowiek skupia wszystkie siły, gotów na wszystko, byle ten cel, tak niedaleki, osiągnąć...

Wolno, jak wąż, stopa za stopą, postępuje naprzód... Puszcza stoi cicha, senna... Gdzieś na polach derkacze skrzypią naprzemian... Z dzikiego uroczyska dolatuje groźne, ponure hukanie puhacza...

Oto ostatni szaniec krzaków, za nim — rozciąga się obszerna leśna polana, porosła soczystą, pożywną trawą... Na łączce tej, często w księżycowe noce żerują sarny...

Kłusownik powoli wychyla głowę z za krzewu... Serce jego poczyna szybciej uderzać... Tuż, niedaleko, spacerując środkiem łączki, pasie się rodzina sarn... Obrazek tak miły, tak swojski, pełen jakiejś jasnej atmosfery, że ręka kłusownikowi poczyna drgać...

...Cała rodzina sarnia: ojciec, matka i dwoje małych, buro-nakrapianych sarniąt...

Coś go ściska za serce na myśl o strzale, na myśl o położeniu trupem któregoś z tych stworzeń...

Tymczasem...

Przed oczyma jego duszy staje inny obrazek, tak bolesny, a tak zarazem drogi i ukochany... Widzi chorą żonę, szepcącą coś w malignie, widzi tych troje wychudłych dziatek ze łzami proszących:

— Tatuńciu, dajcie jeść... ino kapeczkę, o... tyli...

I znów w duszy jego powstaje walka. Mocuje się ze sobą, boryka i znowuż miłość do rodziny zwycięża.

Podciąga do oka broń szybko, ruchem zdecydowanym, ściąga spust: huknęło!... Brzmią jeszcze echa... Wierna przyjaciółka — puszcza, tłumi je w gąszczach, dławi... Niebawem znów zapada wielka, śmiertelna cisza...

Tylko gdzieś ukryty w cieniu drzew strumień, łka cicho... żałośnie...



kij w ziemię i zdjął z pleców to coś błyszczącego. — Wkrótce opodal przesadziła sarna z dwojgiem młodych. Człowiek ani drgnął i Czubuś wyczuł instynktem, że tu dzieje się coś w imię prawa puszczy. Ale co? — Oto, gdy po chwili nad potokiem ukazał się pies, człowiek obrócił się nagle ku niemu, podniósł błyszczący kij — i stało się coś strasznego. Czubuś widział, jak z tego kija wyskoczył wąż ognisty i rozległ się straszny huk. Grom to musiał być zamknięty w kiju świecącym i uderzył w psa, bo ten jeno zawył boleśnie i zwalił się na ziemię. Czubuś zmartwiał ze strachu. Dopiero po pewnej chwili przyszedł do przytomności i odleciał czemprędzej, a gdy wieczorem rozmyślał o tem, prócz strachu i respektu przed groźnym człowiekiem, w serduszku Czubusia ozwała się cichutka nuta wdzięczności za zgładzenie psa-kłusownika.

Nastały dni dżdżyste i chłodne. Zwłaszcza noce były nieznośne. Zimny wiatr zawodził po lesie, liście gwałtownie padały z drzew, leszczyna była już zupełnie goła. Owad był coraz rzadszy, jagód, malin i ostrężyn nie było już wcale. Za to słodkiej, mączystej jarzębiny, pączków leszczyny, topoli, osiny, było w bród, a Czubuś musiał już jeść wszystko i znał się na wszystkiem. Był to już jarząbek w pełni rozwoju i krasy. Od brody przez całą szyję miał śliczną czarną krawatkę, parę zjeżonych piórek na głowie wymienił na zawadjacką czapeczkę, równie jak całe upierzenie dziecięce, na barwny strój prawdziwego kogutka.

Żył samotnie, zapomniawszy zupełnie o rodzicach i rodzeństwie. Tylko czasem, ale to bardzo rzadko, śniło mu się, że siedzi pod krzakiem bzu, zasłuchany w opowieść ojca, podczas gdy rodzeństwo tuli się pod skrzydła matczyne. Po takim śnie jakaś luba, ciepła fala zalewała jego samotne serduszko.

Pewnego dnia, przetrząsając pod takim właśnie krzakiem bzu świeżo opadłe liście, usłyszał w pobliżu głos, który nie wydawał mu się obcym. Było to kilka krótkich, wysokich tonów, podobnych do tych, jakiemi kiedyś matka przywoływała ojca. I na głos ten poczuł nieprzepartą, żywiołową chęć ujrzenia kogoś z krewnych. Stał bez ruchu — nasłuchując. Trelik ozwał się znów — z tego samego miejsca. Z porywczością, rodowi swemu właściwą, frunął i spadł jak piorun akurat w to miejsce, skąd głos dochodził.

Miły Czubusiu! Nawet się nie domyślasz, jakie szczęście sprzyjało ci w tem strasznem niebezpieczeństwie! Wybawiła cię od niechybnej śmierci ta właśnie twoja porywczość, która w innych, normalnych warunkach powinnaby sprowadzić nieszczęście na twoją głowę. Nadleciałeś, nie dawszy odpowiedzi na zdradzieckie wezwanie wabika, tak niespodzianie, że broń myśliwego nie miała czasu umieścić muszki na twem ciałku!

Przez pół sekundy Czubuś obserwował człowieka, w drugiej połowie już śmigał między gałęziami grabiny, gdy wtem pchnął go naprzód jakiś straszny prąd powietrza, potem rozległ się huk okropny. Na końcu lotki, tam gdzie u słonki znajdują się te, poszukiwane przez myśliwych piórka, poczuł nagłe uderzenie, tak silne, że po 10 krokach lotu musiał opuścić się na ziemię. Nie zatrzymał się ani na chwilę, rwał na piechotę co sił, byle dalej, jaknajdalej od tego piekła. Usłyszał za sobą głośne „Aport“ i to podwoiło jeszcze szybkość ucieczki. Słyszał dokładnie, jak zwierz jakiś, prawdopodobnie pies, pilnie obchodzi miejsce, gdzie musiał po strzale lądować. — Wciąż biegł, póki sił starczyło. Na szczęście skrzydełko nie było złamane, widocznie pojedyńczy śrucik, odbity od sęka, lub innego śrutu, uderzył tylko w kość, nie naruszając jej. Ból minął szybko i po paru dniach Czubuś latał po dawnemu. Minął ból i strach — pozostało doświadczenie. Bohater nasz po pierwszej próbie ogniowej z niedoświadczonego młodzika, przedzierzgnął się w chytrego i podejrzliwego ptaka. — Poznał nowy paragraf prawa puszczy: ciekawość i łatwowierność — to rodzone córki nieszczęścia!

Zdradzieckie piski odzywały się teraz częściej, to nad drogą, to pod ścianą starego boru, ale Czubuś już nie dał się wziąć na ten kawał. Raz jeszcze, chcąc się upewnić, podleciał cichutko na kraj lasu i, sam dobrze ukryty, spostrzegł człowieka z psem. To go utwierdziło w przekonaniu, że głosy te wydaje nie kto inny, tylko człowiek. Odleciał więc dalej w las, i z najgęstszej korony starego grabu, zaczął filuternie odpowiadać zdrajcy. Czem wabniej przyzywał go człowiek, tem słodszą nutą odpłacał mu Czubuś. Słyszał kilka strzałów — oddanych do jego głupszych, czyli łatwowierniejszych i naiwniejszych krewniaków. Sam trzyma się zawsze w przyzwoitej odległości i ze szczególnem upodobaniem przekomarza się z myśliwym. Gdy ten robi dłuższą pauzę w wabieniu, Czubuś wyzywa go swemi trelami. Małego kpiarza znają wszyscy, choć nikt nie może dojrzeć.

W tym roku założył własne gniazdo rodzinne, a na jesień, znów zacznie prowokować myśliwych. Ludzi wogóle nienawidzi, jedynie tylko troszeczkę, ale to tylko troszeczkę zaufania ma do leśnika, który w zeszłym roku zastrzelił psa. On jeden nie skrzywdził go i chyba nie skrzywdzi, jeśli do sarnich karmisk wrzuca i dla niego po kilka gron jarzębiny. A i maleńkie, ptasie serduszko umie czuć wdzięczność za poczciwą pamięć ludzką.

KONIEC



BOGUMIŁ MAGDZIŃSKI

Wąglik (Anthrax) u zajęcy

Chorobę t. zw. wąglik, znano już w starożytności. — Opisują ją: biblja (2 księga Mojżesza), Homer, Liwjusz, Owidjusz, Plinjusz, Plutarch i Wergiljusz, oczywiście pod inną nazwą, i bez znajomości przyczyn choroby. Dopiero około połowy ubiegłego stulecia zbadano dokładnie chorobę zwaną wąglikiem i jej wyłączną przyczynę, odkrywając bakterję nazwaną Bacillus anthracis. Odtąd odróżnia się Bacillus anthracis od innych bakteryj, wywołując zbliżone choroby infekcyjne, trudne do odróżnienia od wąglika. Bakterje zobaczyć można jedynie zapomocą zabarwień pod mikroskopem. Odkrył ją Pollender w roku 1849 w krwi padliny chorej na wąglik. Odkrycie to zostało potwierdzone przez Davaine'a w roku 1850 i Branell'a w roku 1857. A R. Koch w roku 1876 stwierdził bezstronnie istnienie tej bakterji i skutków jakie wywołuje. Według Kocha, wąglik wywołuje Bacillus anthracis jako bakterja, która może bytować również i poza organizmem zwierzęcia. Bakterja wyrasta według Kocha w długie nitki, szczególnie wówczas, kiedy ma korzystne warunki rozwoju, przyczem nitki te zawierają kilka pojedyńczych bakteryj, z których każda wytwarza jeden zarodnik przetrwalnikowy, o większej żywotności i odporności od pojedyńczych laseczek. Zarodniki wyrastają w bakterje, jeżeli podłoże bytowania jest odpowiednie lub też dostają się do wnętrza ciała zwierzyny. Bakterja może przetrwać pod postacią zarodnika nawet przez lat 20 i rozwinąć się przy odpowiedniem podłożu.

Bacillus anthracis występuje w krwi lub soku tkanek padliny, jako pojedyńcza komórka zrośnięta z innemi w niteczki o 2—15 członkach, z których każdy tworzy pojedyńczą komórkę. Według Lüpke'go komórka mierzy 1,5 do 2,0 mikronów długości, a 1—1,5 mikronów szerokości, przyczem w każdej komórce może się utworzyć tylko jeden zarodnik. Nitki, składające się z poszczególnych bakteryj, są częściowo proste, częściowo wygięte lub załamane. Zależnie od ilości członków (poszczególnych komórek-bakteryj) są 1—5 razy dłuższe od czerwonych ciałek krwi (erytrocytów). Laseczki bakteryj przypominają pręty bambusowe. Połączenia komórek bakteryj są zgrubione i przejrzyste, tworzące rodzaj kapsułki.

Bacillus anthracis rozmnaża się w warunkach sprzyjających bardzo szybko, tak w organizmach zwierząt, jak i nieotwartych padlinach wyłącznie przez podział bezpłciowy. Przy odpowiedniej ilości tlenu i ciepła (12 do 43⁰) wytwarzają się poza organizmem zwierzęcia albo na jego powierzchni zarodniki, czyli otorbione przetrwalniki, nadzwyczaj odporne na czynniki zewnętrzne, w przeciwieństwie do bakteryj, które są bardzo wrażliwe i mało odporne. Normalne soki żołądkowe, rozkład ciała, susza, nadmierne ciepło (58⁰) lub lekki środek dezynfekcyjny zabijają bakterje natychmiast. Zarodniki można zabić dopiero zapomocą silnych środków dezynfekcyjnych (sublimat, kreolina, formalina, chlor, brom, jod) lub w wysokiej temperaturze (120—140⁰) i parze wodnej (100⁰).

Zwierzyna zaraża się Bacillus anthracis wyłącznie za pośrednictwem gleby, mięsożerne zaś mogą się zarazić bezpośrednio przez spożycie innej zwierzyny lub padliny, zawierającej te bakterje. Pasorzyty te osiedlają się najchętniej na skórze w przewodach pokarmowych i płucach zwierzyny. Jednakże najwięcej sprzyjającem osiedleniu miejscem zarodników bakteryj (przedewszystkiem u zwierząt roślinożernych) jest jelito, a zwłaszcza jelito cienkie. Zarodniki dostają się do wnętrza zapomocą karmy roślinnej lub wody, na której lub w której się poprzednio usadowiły, względnie dzięki styczności pokarmów z padliną, zawierającą bakterje. Pasza, np. jęczmień, koniczyna, owies, oraz sztuczny nawóz, może być również przenośnikiem zarazków. Roznosicielami wąglika mogą być również zwierzęta i ptaki drapieżne, jak lis i wrony, opadające padlinę zawierającą bakterje i roznoszące cząstki tejże nieraz bardzo daleko (wytrząsanie bakteryj) względnie wydzielające bakterje z kałem po spożyciu zarażonej padliny (infekcja gleby). Infekcję rozprzestrzeniają nadto deszcze i topniejące śniegi, (kałuże, rowy, stawki będące poiskami zwierząt).

Zarodniki, które dostały się z paszą do jelit zwierzyny, rozwijają się natychmiast w bakterje i wdzierają się do naczyń limfatycznych niezranionej błony śluzowej jelit i tu rozmnażają się zapomocą dzielenia. Następnie wędrują do krwi i tu rozmnażają się bardzo licznie. Wskutek obecności licznych bakteryj w naczyniach krwionośnych włoskowatych oraz tworzenia się toksyny (trującego produktu wytwarzanego przez bakterje) następuje miejscowe niedomaganie obiegu krwi, zmiana ścianek naczyń krwionośnych, krwawienia, przekrwione puchliny, gorączka i sparaliżowanie centralnego systemu nerwowego.

Padlina wykazuje przy sekcji różne zmiany narządów wewnętrznych. Przedewszystkiem wszystkie organy są przekrwione; błona pokrywająca opłucną, osierdzie i jamę brzuszną, wykazuje na swej powierzchni obfitą petecję (czerwoną wysepkę), a tkanka łączna w okolicy nerek, oraz głównie błona wyścielająca jelito i przeponę brzuszną, wykazuje puchlinę. Naczynia limfatyczne, szczególnie otaczające jelita, są silnie nabrzmiałe, a barwa ich zmienia się na szaro-czerwoną; zawartość naczyń jest płynno-krwista. Przy przekrwieniu naczyń limfatycznych, barwa ich zmienia się na ciemnoczerwoną. Błona śluzowa żołądka (trawieńca) wykazuje zazwyczaj puchlinę, krwiotoki albo świeże wrzody, zawierające krwistą masę; podobnie ulega zmianie błona śluzowa jelita. Nadto spotyka się zapalenie jelit, przyczem błona ich jest pokryta wrzodami i przekrwioną puchliną lub obumarła. Śledziona powiększa się zazwyczaj 2—5-krotnie, a torebka jej łącznotkankowa jest silnie napięta, tak, że jej zawartość (miazga) przyświeca barwą ciemnoczerwoną. Przy przekroju wydziela się z śledziny między beleczkami łącznotkankowemi papkowata masa. Nerki, a przedewszystkiem ich warstwa korowa, wykazują miejscowe przekrwienia; mocz bywa również niekiedy zakrwawiony. — Przekrwienie występować może nadto na rurach oddechowych, w czaszce — na błonie mózgowej zewnętrznej i pod postacią krwawej wysypki na błonach mózgowych i mózgu. U padliny Bacillus anthracis objawia się szybkim rozkładem padła, brakiem sztywności pośmiertnej u tegoż, wreszcie obecnością bakteryj w krwi, naczyń włoskowatych wątroby, jelita i śledziony. Jeśli zwierz zgi-

nie wskutek bakteryj nagle lub wskutek dobicia, wyżej opisane symptomy anatomiczne mogą też i nie zachodzić.

Objawy choroby są różnorodne — zależnie od części organizmu, na której usadowiły się bakterje. Objawy infekcji, wywołanej w płucach, są inne od objawów infekcji wywołanej na skórze. We wszystkich natomiast wypadkach przebieg choroby jest ciężki i kończy się śmiertelnie w ciągu jednego do trzech dni. Jedynie przy infekcji wywołanej na skórze, choroba może się ciągnąć przez dłuższy okres czasu, nieraz przeszło tydzień. Inkubacyjny okres choroby-wąglika (czas, w ciągu którego zarazek rozwija się w ciele, nie wywołując objawów choroby) wynosi 2—3 dni.

Według trwania czasu choroby dzieli się wąglik na trzy formy: Anthrax acutissimus — wąglik parakutyczny, anthrax acutus — wąglik akutyczny i Anthrax subacutus — wąglik subakutyczny.

Anthrax acutissimus — wąglik parakutyczny trwa najwyżej godzinę, przyczem zwierzyna pada. Przebieg choroby jest apoplektyczny; zwierzyna nagle zaczyna się taczać, upadać — a wreszcie pada. Niekiedy towarzyszą tym objawom krwiotoki; krew wydobywa się z gęby, nosa lub otworu odbytowego.

Przebieg Anthrax acutus — wąglika akutycznego trwa dłużej od parakutycznego, mianowicie od 12 do 48 godzin i kończy się śmiercią. Zwierzyna wykazuje wówczas silnie podniesioną temperaturę, a błony śluzowe głowy są ostro zaognione. Choroba ta powoduje albo silny napływ krwi do mózgu i w konsekwencji paraliż tegoż, co objawia się silnem podnieceniem zwierzyny, która tacza się, i kończy nagle, tracąc przytomność, albo paraliżem serca i płuc, który objawia się silnem biciem serca (szybkie uderzenia pulsu (80—100) niewyczuwalne), brakiem powietrza i kolką. Nadto następują krwiotoki; mocz jest przekrwiony, a kał przepełniony krwią. Zdarza się, że symptomy choroby znikają na krótki okres czasu, ażeby z tem większą siłą wystąpić (Anthrax remittens).

Anthrax subacutus — wąglik subakutyczny trwa zwykle 1—2 dni, lecz zdarza się nieraz, że zwierzyna cierpi do 7 dni, a wówczas występuje Anthrax remittens. Choroba ta objawia się silną gorączką i kolką, a kończy się nadmiernem napływem krwi do płuc i mózgu.

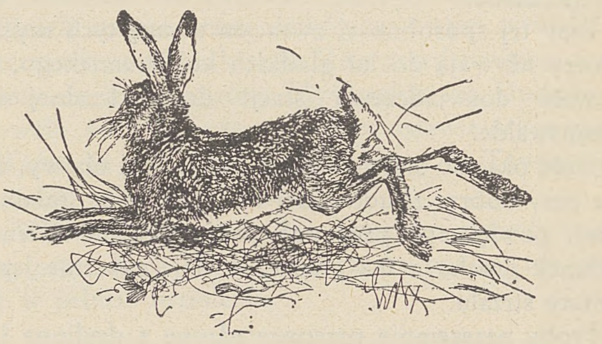
Podłożem Bacillus anthracis mogą być też karbunkuły (wrzody) lub opuchnięcia skóry i błon śluzowych. Karbunkuł skóry powstaje przez dostanie się Bacillus anthracis do małej ranki skóry. Wówczas tworzy się najpierw organiczna puchlina, wywołująca silny piekący ból, później puchlina przestaje dolegać, lecz tworzy się zapalenie i gangrena. — Zwierzyna, która choruje na karbunkuły skórne, pada czasem po 3 do 7 dniach, nieraz jednak następuje też i ozdrowienie. Skutkiem karbunkułu dostają się bakterje również do krwi, lecz zazwyczaj w niewielkiej ilości; silnie rozmnażają się natomiast dopiero w okresie przedśmiertnym. Karbunkuł błon śluzowych tworzy się najczęściej na języku, przełyku, krtani i kiszce odchodowej, odznaczając się krwawem zapaleniem i opuchnięciem tych organów. W kiszce odchodowej wytwarza się najczęściej karbunkuł przy zranieniu błony śluzowej podczas przeczyszczania kiszki stolcowej.

Wąglik perakutyczny jest w każdym wypadku śmiertelny w 70—80% wypadków.

Dla stwierdzania obecności Bacillus anthracis i występowanie wąglika, nie wystarczy jedynie samo przeprowadzenie sekcji makroskopowej padliny, lecz trzeba zbadać ją mikroskopowo i bakterjologicznie. Przeprowadzając wyłącznie tylko sekcję makroskopową, można na podstawie symptomów określić chorobę nie jako wąglika, lecz jako zapalenie żołądka i jelit, otrucie, zapalenie mózgu, udar słoneczny, uduszenie, leukaemję (chorobę odznaczającą się nadmiernem powiększaniem się ilości białych ciałek krwi). Przeprowadzając zaś tylko samo badanie bakterjologiczne można łatwo się pomylić, biorąc Bacillus anthracis za bakterje wywołujące puchlinę, zakażenie i rozkład ciała. Tylko wówczas, kiedy oba badania, t. j. makroskopowe i mikroskopowe (bakterjologiczne) stwierdzą obecność wąglika, można być pewnym istotnej przyczyny choroby. Charakterystyczną cechą badania mikroskopowego Bacilus Anthracis jest tworzenie się kapsułek łączących „człony“ i nieruchomość laseczników.

Zwierzynę przebywającą w lasach możnaby częściowo ochronić przed wąglikiem, tępiąc drapieżniki, a przedewszystkiem lisy i wrony, które szczególnie licznie roznoszą zarazki choroby. Inne źródła infekcji jak ewentualnie zarażone łąki, paszę zimową i mąkę kostną, należałoby dokładnie badać i w razie potrzeby usunąć, a łąki odgrodzić, ażeby zwierzyna nie miała do nich dostępu, względnie je uprawić na role lub zalesić. W razie pojawienia się wąglika, należy natychmiast zawiadomić władze policyjno-łowieckie (starostwo lub posterunek policji).

Dla bliższego zaznajomienia się z tematem, zaleciłby można Dr. Eugen Frohner: „Pathologie und Therapie für Tierärzte“. Stuttgart. J. Bongert: „Bakteriologische Diagnostik“. Lipsk 1912.



KAZIMIERZ CHRZANOWSKI

Kilka słów o strzałach kulowych

Od czasu zakazu sprowadzania prochu niemieckiego z zagranicy, jesteśmy — my starzy myśliwi, używający broni kulowej starszego typu jak kal. 450 (11,15 mm) oraz 500 (11,5 mm) w przykrem położeniu.

Prochu odpowiedniego do powtórnego nabijania tych naboi zagranicznego pochodzenia nie wolno sprowadzać, z polskich zaś wyrobów przeznaczony do tych kalibrów proch marki Dzik, jak to już swego czasu donosiłem, przy temperaturze powietrza poniżej — 5^0 niezupełnie się spala.

Ponieważ nie słyszałem, aby fabryka w Zagożdżoniu starała się ten błąd usunąć, musiałem z konieczności wo-

bec ponownego wypadku, że w podwójnym kurkowym ekspresie kal. 11,15 mm w tym roku znowu kula po strzale z prawej lufy przy temperaturze powietrza — 12° w lufie została, a kula z lewej lufy zaraz po opuszczeniu lufy do śniegu wpadła, sam zabrać się do eksperymentów, aby ulepszyć używanie tego jedynie nam dostępnego prochu.

W celu ponownego sprawdzenia faktu niespalania się prochu Dzik przy temperaturach niskich, przeprowadziłem próby ze strzelaniem przy temperaturze — 12° powietrza z następujących broni:

1. Ekspress kulowy podwójny z kurkami firmy Bartl Weipert, łuski ze spłonką dla prochu bezdymnego Hirtenberg, Kal. 11,15 mm.

2. Dryling firmy Teschner, kaliber kulowy 9,3×80, łuska ze spłonką Gevelot pochodzenia zagranicznego.

Przy próbach z obydwóch broni, proch w łuskach bez kuli nie spalał się zupełnie i zawsze otrzymywałem w lufach osad dość znaczny niespalonego prochu.

Wobec tego próbowałem dosypać na spłonkę trochę czarnego prochu, a wtenczas proch się zupełnie spalił.

Przez dalsze próby ustaliłem dla kalibru 11,15 mm oraz dla kal. 9,3 mm następujący ładunek:

Na spłonkę sypię 0,4 grama ważonego wagą prochu czarnego, na to ostrożnie 2,4 g prochu Dzik, uważając by obydwa gatunki się nie pomieszały. Następnie wypełniam próżnię pomiędzy prochem a kulą watą, lekko ją uciskając, tak aby proch się nie pomięszał i wsadzam na to kulę. Zamiast waty można użyć miękkiego papieru, jednakowoż nie wolno prochu za mocno przyciskać, gdyż to powodować może nadmierne ciśnienie gazów.

Strzały temi nabojami do tarczy wykazały nadzwyczajnie dobry rezultat, do zwierzyny nie miałem jeszcze okazji strzelania.

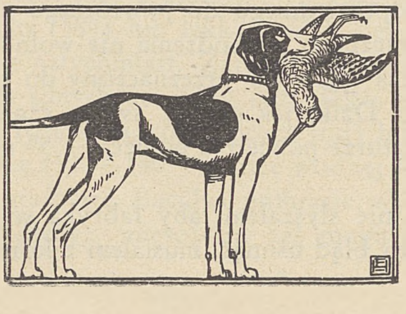
Przy tej sposobności zwracam uwagę tych myśliwych, którzy używają do luf gładkich kul Brennekego, na najnowsze doświadczenia stacji doświadczalnej w Neumannswalde.

Otóż okazało się, że można bez żadnej obawy, naturalnie przy dobrze zbudowanej dubeltówce ze stalowemi lufami, powiększyć przy nabojach z kulami Brennekego ładunek prochu o 0,2 grama, co daje znacznie lepsze rezultaty strzału.

Próby przezemnie przeprowadzone z drylinga i browninga, przyczem przy kal. 16 używałem zamiast 1,8 g prochu Łoś 2,0 grama, potwierdziły ten wynik.

Ciśnienie gazów nie jest zbyt wielkie, tylko należy wprost na proch założyć kulę, natomiast przybitki nie wolno zakładać.

Niemcy wyprodukowali specjalny proch do kuli Brennego wolno się spalający, tak, że podwyższają ładunek o 0,4 grama. Rezultaty strzałów nawet na 80 m są doskonałe.



ALEKSANDER ULM

Ograniczenie polowaniowe dla obcokrajowców w Rumunji

W numerz 47 czasopisma „Wild und Hund" podaje inż. H. v. Rezori do wiadomości myśliwych niemieckich chcących zapolować na jelenia karpackiego w Rumunji, nowe rozporządzenie król. rum. Ministerstwa domen o wykonywaniu polowania przez obcokrajowców, na które jako obowiązujące w sąsiedniem nam państwie, uposażonem w podobne warunki polowaniowe jak my, wypada zwrócić uwagę także i naszych myśliwych.

Otóż rozporządzeniem król. rum. Ministerstwa z sierpnia ub. r. postanowiono, że obcokrajowcy, którzy jako goście, lub udziałowcy w prawie polowania lub wreszcie jako członkowie towarzystw łowieckich, pragną na terytorjum państwa rumuńskiego polować, potrzebują na to specjalnego imiennego zezwolenia tegoż Ministerstwa. Celem uzyskania tego zezwolenia, należy do podania dołączyć: opis osoby, cztery fotografje, podać przynależność państwową, zamierzony teren łowiecki, rodzaj i ilość zamierzonego odstrzału i oświadczyć, czy petent wyłącznie jako gość pragnie polować, czy też jest udziałowcem prawa polowania, który przyczynia się do kosztów utrzymania rewiru.

Rozporządzenie postanawia, że kwoty zainkasowane od tych obcych współudziałowców mają wyłącznie służyć na podniesienie kultury łowieckiej przez pomnożenie straży łowieckiej, przez zakładanie lizawek, budowę schronisk i ścierzek, a szczególnie do podniesienia stanu zwierzyny, a zatem nie mogą w żadnym przypadku służyć jako wynagrodzenie za ubitą zwierzynę. — Zauważyć przytem należy, że sprzedaż t. zw. odstrzału, a więc wynagrodzenie za ubitą tylko zwierzynę jest bezwarunkowo zakazaną, zatem pozwolenie na polowanie poza gośćmi, może być odstąpione obcokrajowcowi tylko za ugodzoną roczną zapłatą, bez względu na wynik polowania. Wyjątkowo w pierwszym roku takiej współdzierżawy lub współuczestnictwa z właścicielem obwodu łowieckiego, można wpłacić tylko dwie trzecie pisemnym kontraktem ugodzonej kwoty, gdy reszta, uważana jako premja, może być po ubiciu zwierzyny zapłaconą.

Bardzo ważnem postanowieniem tego rozporządzenia jest obowiązek myśliwego obcokrajowca, do udzielenia szczególnie kapitalnego wieńca Dyrekcji domen państwowych do sporządzenia reprodukcji dla celów muzealnych, dostarczenia każdej chwili takiego wieńca do dyspozycji dla celów wystawowych, a w każdym razie podawania przy jego pokazach, kraju, miejsca i daty ubicia zwierzyny.

To byłyby najważniejsze postanowienia tego oryginalnego rozporządzenia, wkraczającego dość dotkliwie w prawa własności tak terenu łowieckiego, jako też zdobytych trofeów myśliwskich, przez myśliwego obcokrajowca w Rumunji.

Rozporządzenie to podyktowane niezawodnie troską o podniesienie kultury łowieckiej, o utrudnienie niezdrowego a bardzo reklamowanego w Rumunji spekulatyw-

nego odsprzedawania „odstrzału", obcokrajowcom, godzi jednak w interesa walutowe państwa, gdyż utrudnia wpływ obcych walut, o który starać się muszą państwa o słabej walucie, przy obecnie wzmożonym seperatyzmie w międzypaństwowym obrocie towarów.



Z wydawnictw

JANUSZ DOMANIEWSKI: Sprawozdanie z działalności Stacji Badania Wędrówek Ptaków za rok 1932. — **Acta Ornithologica Musei Zoologice Polonici. I. 7. Warszawa 1933.**

Tegoroczne sprawozdanie Stacji Badania Wędrówek Ptaków przy Państwowem Muzeum Zoologicznem jest miłą niespodzianką: ilość współpracowników Stacji wzrosła do 78, a więc blisko 7-mio krotnie, a ilość zaobrączkowanych ptaków w okresie sprawozdawczym z 1.029 w poprzednim roku, na 3.671, a więc blisko 31/3 razy, co w r. 1931. Okazuje się zatem, że mimo trudniejszych znacznie warunków gospodarczych, jakie panowały w r. 1932 w porównaniu do stosunków z r. 1931, wiele ludzi odpowiedziało na apele Stacji wysiłkiem dobrej woli i przyczyniło się do badań nad poznaniem wędrówek naszego ptactwa. Życzyćby tylko należało dalszego i konsekwentnego rozwoju Stacji, oraz pracy podobnej przez następne lata. Jak wiadomo bowiem, istnieje w związku z badaniem zjawisk wędrówek u ptaków cały szereg problemów oczekujących rozwiązania, a zaledwie 1—2% założonych obrączek dochodzi do wiadomości Stacji.

Dalszym pocieszającym objawem jest niewątpliwie odsyłanie obrączek znalezionych na ptakach zabitych w Polsce wprost do naszej Stacji, a nie do Stacyj zagranicznych, skąd dopiero okrężnemi drogami dochodzą naszą Stację wiadomości o schwytaniu lub zabiciu ptaków.

Trudno w kilku słowach scharakteryzować wyniki, jakie dało obrączkowanie naszej Stacji w roku sprawozdawczym. Nie należy wątpić, że nasza Stacja w miarę nagromadzenia się dostatecznej ilości materjału zacznie publikować spostrzeżenia naukowe i udostępni je szerszym kołom miłośników ptaków i ciekawych ich biologji, rekrutujących się z Czytelników „Łowca".

Z ogólnej liczby 3.671 sztuk zaobrączkowanych w Polsce, ptaki te należą do 32 rodzin a 84 gatunków. Rekord dzierżą jak zwykle szpaki, jako specjalnie łatwo dostępne ze względu na budowę sztucznych gniazd w ilości 816 sztuk, potem idą jaskółki dymówki (499) i oknówki (377), bociany (402) i gawrony (298), nie brak jednak ptaków drapieżnych, błotnych i rzadszych owadożernych. Z ptaków zaobrączkowanych otrzymano wiadomość o 46 okazach należących do 14 gatunków.

Przytoczymy kilka danych, które mogą być dla Czytelników „Łowca" ciekawe, a z których widać jasno, jak bardzo wielka ilość spostrzeżeń jest potrzebna dla uzyskania możliwości wysnucia jakichkolwiek wniosków o znaczeniu naukowem. Np. czapli siwych zaobrączkowanych przez inż. Stefana Gołdę w okolicach Stryja, zostało zabitych około 10 okazów; z nich większa część zginęła w wschodniej Małopolsce, nie brak jednak osobników, które znalazły się na rozkładzie w okolicach, położonych na północ od Stryja. Jeszcze ciekawsze są wyniki obrączkowania gawronów: z 10 okazów część zginęła w szeregu miesięcy, niedaleko od miejsca zaobrączkowania, reszta i to specjalnie sztuki obrączkowane na Zachodzie Polski ciągnęła do Niemiec, a nawet dochodząc do Francji, wreszcie gawron w b. r. zaobrączkowany w Białkowcach koło Tarnopola, maj. p. Ant. Sykory, podczas lęgu został ubity w listopadzie w okolicach Wenecji w Italji. Na pierwszy rzut oka świadczyłoby to, że gawrony Polski środkowej nie ciągną wcale, z Polski zachodniej podążają na Zachód, wreszcie z Polski południowej ciągną na południe. Definitywnie rozstrzygnąć tę kwestję mogą dopiero dalsze badania, które opierać się muszą na setkach, jeśli nie tysiącach materjału zaobrączkowanego.

Oprócz tych ptaków zabito w roku sprawozdawczym w Polsce 61 sztuk ptaków zaobrączkowanych przez stacje obrączkowań Niemiec, Litwy, Finlandji, Holandji i Italji, podczas ich przelotu przez Polskę.

Oby przyszły rok przyniósł jeszcze piękniejsze wyniki, byśmy doścignąć mogli zachodnie kraje badające przeloty od kilkudziesięciu już lat. Zewnętrzna szata sprawozdania Dyrektora Stacji Prof. Dra J. Domaniewskiego jest naogół bardzo dobra, życzyćby tylko należało wcześniejszego ukazywania się przyszłych sprawozdań, obecne ukazało się z datą 1 XII. 1933 r.

Doc.Dr. Kazimierz Wodzicki.



W sprawie ochrony dzików

Dowiadujemy się, że Towarzystwo Myśliwskie im św. Huberta we Lwowie, rozesłało do myśliwych powiatu rawskiego list otwarty w sprawie ochrony dzików.

Jeżeli sprawa stanu dzików w owym powiecie ma się rzeczywiście tak, jak ją w liście przedstawiono, a nie wątpimy, że Towarzystwo Myśliwskie św. Huberta, wystosowało swój list otwarty na podstawie ściśle zbadanych faktów, to myśli podniesionej przez to Towarzystwo naprawdę należy przyklasnąć.

W intencji przyjścia Inicjatorom z pomocą w wdrożonej przez Nich akcji, przytaczamy poniżej ten list otwarty w pełnem brzmieniu.

„Lwów, dnia 20 stycznia 1934 r.

LIST OTWARTY.

Towarzystwo Myśliwskie im. św. Huberta we Lwowie, jako dzierżawca terenów łowieckich Choronów-Chlewczany w powiecie Rawa Ruska, stwierdziło w bieżącym sezonie myśliwskim, że stan dzików, których ilość przed sezonem dochodziła do około 40-tu sztuk, zmniejszył się przeszło o połowę do chwili obecnej t. j. do 20 stycznia b. r. Przyczyna tak katastrofalnego ubytku leży w tem, że dziki te nie mają stałej ostoi w jednym rewirze, lecz przechodzą przez rewiry Karów, Wierzbica, Wulka Mazowiecka, Butyny, Romanówka, lasy dzierżawione przez P. T. Towarzystwo Bełzkie i t. d. i są wszędzie strzelane. Są to, jeszcze raz podkreślamy, te same dziki przechodzące z rewiru do rewiru. Jeżeli przyjmiemy, że sezon polowań na zające skończył się, a obecnie, w rewirach dziczych będzie się polować do 1 marca t. j. do czasu ochronnego na tę zwierzynę, to nie ulega żadnej wątpliwości, że z kilkunastu niedobitków pozostanie zaledwie kilka sztuk. Tak przedstawia się stan faktyczny tej rzadkiej już w naszych okolicach zwierzyny — okrasy małopolskich kniej. W świetle powyż-

szych faktów, jasne jest dla każdego myśliwego-hodowcy, że należy zastosować radykalne środki dążące do wspólnego celu t. j. do ochrony tej zwierzyny.

Pozwalamy więc sobie zainicjować w dobrze zrozumiałym wspólnym interesie wszystkich właścicieli tych rewirów, natychmiastowe wstrzymanie się od polowań na dziki, na okres jednego roku t. j. do 1 marca 1935. Akcja ta oczywiście osiągnie tylko wtedy należyty rezultat, jeżeli będzie jednomyślna i jeżeli będzie solidarnie przestrzegana. W przekonaniu, że inicjatywa nasza znajdzie należyte zrozumienie u wszystkich P. T. Myśliwych, mamy zaszczyt najuprzejmiej prosić o łaskawe złożenie swego podpisu na niniejszem piśmie, co uważać będziemy za wiążące zobowiązanie do wstrzymania się od polowań na dziki od chwili podpisania do 1-go marca 1935 roku.

W końcu oświadczamy, że jako wnioskodawcy, pismo to pierwsi podpisujemy.

Towarzystwo Myśliwskie im. św. Huberta we Lwowie."

Ś. † p.

WŁADYSŁAW WESOŁOWSKI

kapitan w rez. W. P., długoletni członek i kierownik biura M. T. Ł., zmarł dnia 30 stycznia b. r. we Lwowie, w 70 roku życia.

Małopolskie Towarzystwo Łowieckie traci w Zmarłym cichego i sumiennego pracownika, oddanego idei łowieckiej i Towarzystwu sercem i duszą. Z żalem też serdecznym żegnaliśmy naszego szczerego przyjaciela u wrót mogiły.

Ś. † p.

MAURYCY CHŁAPOWSKI

długoletni członek M. T. Ł., dr. praw, właściciel dóbr Słocina pod Rzeszowem.

Urodzony w Czerwonej Wsi w r. 1869, po długoletnich i ciężkich cierpieniach, zmarł 16 grudnia 1933 r.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy!

Korespondencje

Tadanie, 6 stycznia 1934.

W dniu 18 i 19 grudnia ub. r. odbyło się polowanie w Tadaniu. W 11 strzelb ustrzelono 183 zajęcy, 1 lisa.

Dnia 28 grudnia polowano tamże w 5 strzelb. Na rozkładzie 29 zajęcy.

Stan zwierzyny słaby w porównaniu z ubiegłym rokiem.

Irena Makólska.

Sielec-Bieńków, 12 stycznia 1934.

Dnia 21 grudnia polowaliśmy w 9 strzelb w Stronibabach, Józefa Obertyńskiego. Wzięto 5 kotłów przy bardzo niesprzyjającej aurze, silny wiatr, mróz i duży śnieg. Na rozkładzie 128 zajęcy — przy większej ilości nagonki i innej aurze, można było lekko 200 sztuk osiągnąć.

Stronibaby, to eldorado myśliwskie wysokiej klasy — zasługa właściciela, zamiłowanego hodowcy i Jego dyrektora Stanisława Obertyńskiego, wybitnego myśliwego, który też bardzo energicznie polowanie prowadził. Królestwo wystrzelał Andrzej Skrzyński, mając 27 sztuk ubitych.

Dnia 23 grudnia ub. r. polowano w Sielcu-Bieńkowym pp. Kaz. Bartmańskich w rewirze Ruda w 8 strzelb, przy 17^0 mrozie, od godziny 10 do 3. Na rozkładzie 38 zajęcy. Królestwo wystrzelał Kazimierz Godlewski, mając 9 zajęcy ubitych. Stan zwierzyny dobry.

Dnia 27 i 28 grudnia ub. r. odbyło się polowanie w Batiatyczach p. Antoniego Papary w 7 i 8 strzelb. Pierwszego dnia w 6 kotłach padło 175 zajęcy, drugiego w 2 kotłach i 7miotach leśnych 1 lis i 124 zajęcy. Razem 1 lis i 299 zajęcy. Królestwo wystrzelał gospodarz 48 zajęcy, drugi Jan Madeyski 47 zajęcy.

Stan zwierzyny w Batiatyczach wprost doskonały, wykazuje rokrocznie znaczną poprawę. Kierownictwo polowania spoczywało w energicznych dłoniach gospodarza.

Dnia 2 stycznia polowano w 5 strzelb w Odnowie p. Józefa Obertyńskiego. Na rozkładzie 51 zajęcy. Królestwo wystrzelał Roman Bartmański, mając 18 sztuk ubitych. Polowanie sprawnie prowadził Stanisław Obertyński.

Dnia 5 stycznia odbyło się polowanie w Leśniowicach posła Romana Stroynowskiego w 7 respective 8 strzelb. Na rozkładzie 109 zajęcy w 9 leśnych miotach. Królestwo wystrzelał Roman Bartmański, mając 21 ubitych. Organizacja i kierownictwo polowania, pod każdym względem doskonałe, spoczywało w rękach Jana Madeyskiego. Stan zwierzyny mimo bardzo niesprzyjających warunków poprawia się wybitnie, dzięki troskliwej opiece właścicieli.

Gościnna i przemiła knieja Sielec-Bieńków pp. Kazimierzostwa Bartmańskich, uraczyła 18 strzelb bardzo udanem polowaniem, dnia 10 stycznia. Na rozkładzie 2 lisy i 155 zajęcy, wzięto 3 polne i 10 podwójnych miotów leśnych przy 150 nagonki, zadymka śnieżna była jedynym minusem polowania. Królestwo wystrzelał Andrzej Bartmański, mając 25 zajęcy ubitych, on też znakomicie prowadził łowy.

K. G.

Rakowa, 6 stycznia 1934.

Sprawozdanie łowieckie za rok 1933.

Bez urządzania zbiorowego polowania padło: zając 1, słonka 1, rogaczy 2, kulików 2, krzyżówek 82, cyranek i cyraneczek 21, podgorzałek 28, nurków 6, rybitwa 1, perkozów 2, łysek 9 — razem 155 sztuk, z czego zgubiono 27 sztuk ptactwa. Ze szkodników strzelono: psów 25, kotów 36, wron 4, jastrzębia 1, srok 5 — razem 71 sztuk.

Strzałowe wyniosło 119,50 zł, odszkodowania 16,70 zł, dwa konie dla lisów 8,50 zł — razem 144,70 zł.

Stan saren i zajęcy poprawił się, kuropatw nadal mało. Sarny i zające otrzymują paszę w siedmiu miejscach, kuropatwy pośląd w pięciu.

Zarząd Fundacji.

W dniu 4 stycznia b. r. odbyło się polowanie w lasach S. A. Oikos w Połonicznej w 16 strzelb, na dziki, zające i lisy.

Przepolowano 9 miotów przy wspaniałej pogodzie i ubito 73 zajęcy i 1 lisa.

W pierwszym dziczym miocie przebiło nagonkę stadko 5 sztuk, drugie stado 18 sztuk zruszone z powodu silnie skrzypiącego śniegu przy zachodzeniu miotu, wyszło na oczach całej linji myśliwych przed zajęciem stanowisk.

Znakomity stan zwierzyny, prawdziwie serdeczna staropolska gościnność gospodarzy w osobach Inż. Fr. hr. Zamoyskiego i Dra Csali, kierownictwo w doświadczonych rękach P. Stawowczyka dopomagające św. Hubertowi w rozłożeniu łask na wszystkich gości, utrwaliło tradycję polowań w tej kniei.

Darz bór Gospodarzom i ich gościom.

Marjan Słoński.

W dniu 13 stycznia b. r. ubił podpisany w lasach S. A. Oikos w rew. Berbeki rysia 1,10 m dług. 70 cm wysokości.

Jestto piękny okaz starej rysicy, która prawdopodobnie z Wołynia zagościła. W okresie jednego miesiąca zdążyła wybić około 20 sarn i to przeważnie rogaczy, nie licząc zajęcy i cietrzewi. Najstarsi gajowi nie pamiętają, aby w tej kniei znajdował się na rozkładzie tak rzadki gość.

Edmund Stawowczyk, delegat.

Rakowa, pow. Sambor, 16 stycznia 1934.

Piękne z pożytecznem.

Dla właścicieli rewirów łowieckich, względnie całego personelu łowieckiego, odegrać mogą w ciągu zimy wielką rolę ski. A zima u nas trwa, zależnie od okolic, przez 1/4—1/3 roku. W tym czasie zwierzyna wymaga troskliwej opieki, jako najbardziej widoczna, często osłabiona, najmniej nieraz płocha. Głęboki śnieg utrudnia, a czasem uniemożliwia piechurowi dokładne i częste obejście rewiru, doniesienie karmy, kontrolę zwierzostanu i śladów ludzkich w głąb prowadzących.

Wszystkie te czynności umożliwiają i umilają narty. Często dlatego, by użyć na nich jazdy, kieruje się człowiek do rewiru, którego by w przeciwnym razie nie oglądał.

Tak w górach, gdzie w największym stopniu są użyteczne, jak na nizinach, obwodach lasowych i polnych, na zamarzniętych czy odwodnionych przed zimą stawach — wszędzie umożliwiają, ułatwiają i w najwyższym stopniu uprzyjemniają pracę opiekunom zwierzyny. Rowy, zamarznięte i zadmuchane śniegiem potoki, niedostępne wertepy, stoją przed narciarzem-łowcą otworem. Ile przytem doznaje się wzruszeń, zachwytów, nowych i nieznanych bodźców do tem większego umiłowania matki-przyrody, wie tylko ten, kto na nartach wjechał w cichy, zimowy las, nieskalany śladem ludzkim.

Mróz, na ugiętych gałęziach ciężkie czapki okiści, w których kryształach srebrzą się załamane promienie słońca. Na tle niebieskiego nieba, na szczycie wyniosłej brzozy duma myszołów. Sikorki z mysikrólikiem odkryły w zaciszy nieobsypany śniegiem pień starej jodły i rewidują po kilkakroć każdą jego szczelinę. Środkiem linji pozostawił paciorkowate tropy lis. Drobniutkie ślady myszy zawiodły go pod stary pniak, gdzie odnalazł jej gniazdo. W powrotnej drodze cieszy nas to, że z wygodnej ścieżki „białego śladu“ skorzystał skwapliwie zając, który długą po nim oznaczył wędrówkę, nim skręcił w miot.

O ile łatwiej i przyjemniej objechać na nartach budy dla kuropatw, niż brnąć ku nim w śniegu, lub tratować w głębokich zaspach konie. Dyskretny ślad narty, łatwiejszy do odróżnienia od śladu obcego buta, czyni obwód łowiecki jakby nietkniętym, gdzie każdy ślad pieszego intruza wzbudza podejrzenie.

Dlatego rozpowszechniajmy i my, myśliwi, ten piękny sport i wygodny środek lokomocji, dla tych zwłaszcza, których szczęśliwy zawód zespolony jest z hodowlą zwierzyny, użyteczny i błogosławiony!

Przed nami jeszcze 1—2 miesięcy śniegu. Nie zwlekajmy! Tej zimy jeszcze posłuchajmy przyjemnego „szi-szi“ pod deskami!

A. Sędzimir.

Lwów, 9 stycznia 1934.

W lasach fundacji im. Abrahamowiczów (rewir Nowosiółka) w dniu 30 grudnia ub. r. zabito w 8 strzelb, 63 zajęcy i 4 lisy. Polowanie prowadził kurator pow. fundacji Dr. Roman hr. Zaleski.

R. Z.

W Rzemieniu, własności W. i A. Szaszkiewiczów polowano w roku 1933:

24 stycznia, las, 5 strzelb: 1 dzik.
30, 31 stycznia, las, 4 strzelb: 3 dziki.
29 lipca, stawy, 8 strzelb: 103 kaczek.
9 sierpnia, stawy, 4 strzelb: 20 kaczek.
2 grudnia, remizy polne, 4 strzelby: 23 zające, 20 bażantów kog.
28 grudnia, las, 8 strzelb: 52 zające, 2 cietrzewie, 1 lis.

Jeleni na rykowisku padło 2 (10-tak i 14-tak). Rogaczy na podjazdach i podchodach 11, słonek na ciągach 13, cietrzewi na tokach 1, kuropatw 19.

Straż leśna ubiła szkodników: lisów 8, czapli 5, różne 21.

Razem: jeleni 2, dzików 4, rogaczy 11, zajęcy 73, kaczek dzikich 123, bażantów 20, kuropatw 19, słonek 13, cietrzewi 3, lisów 9, czapli 5, różne 21. — Razem sztuk 263.



Rozporządzenie Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 8 stycznia 1934 r.

o uchyleniu mocy obowiązującej rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 9 listopada 1932, o zezwoleniu na polowanie na sarny-kozy, samice jelenia i daniela, oraz bażanty-kury.

Na podstawie art. 51 ust. 1 punkt e) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 o prawie łowieckiem (Dz. Ustaw R. P. Nr. 110. poz. 934) w brzmieniu ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 (Dz. U. R. P. Nr. 67 poz. 622) zarządzam co następuje:

§ 1. Uchyla się moc obowiązującą rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 9 listopada 1932 r. o zezwoleniu na polowanie na sarny-kozy, samice jelenia i daniela oraz bażanty-kury (Dz. U. R. P. Nr. 111 poz. 925).

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych
Nakoniecznikow-Klukowski



Wystawa trofeów łowieckich
w Warszawie

Otrzymujemy następujące pismo:

W kwietniu r. 1934, zostanie otwarty w Warszawie III Pokaz Trofeów Łowieckich, któremu z okazji Międzynarodowego Zjazdu pragnęlibyśmy nadać charakter Wielkiej Wystawy.

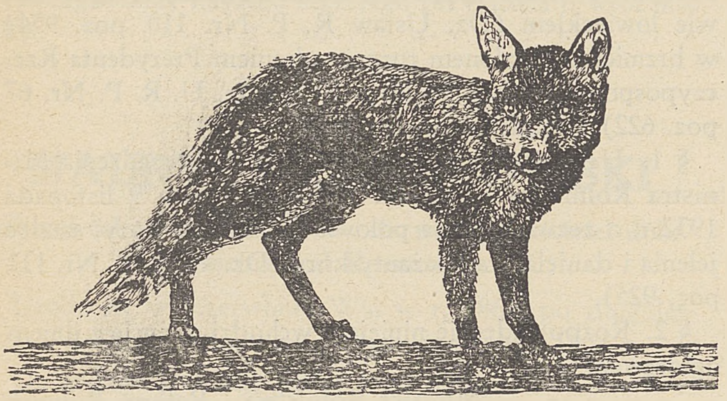
W dobrze zrozumianym interesie ogółu łowiectwa polskiego leży wykorzystanie wszelkich możliwości, które potwierdziłyby w sposób widoczny i dostępny dla cudzoziemców — opinję o naszem bogactwie myśliwskiem.

Usilne starania o zrealizowanie tych naszych zamierzeń każą nam zwrócić się z uprzejmą prośbą przedewszystkiem w stronę WPanów, aby zechcieli wspólnemi siłami dopomóc do obesłania Pokazu licznemi, cennemi eksponatami.

Komitet org. III pokazu trof. łow.

* * *

Właścicieli pięknych, pierwszorzędnych trofeów łowieckich w Małopolsce wzywamy, aby w dobrze zrozumiałym interesie łowiectwa polskiego, zechcieli się porozumieć jak najprędzej z Komitetem organizacyjnym III pokazu trofeów łowieckich (Polski Związek Stow. Łow., Warszawa, Nowy Świat 35) celem obesłania niemi Wystawy. *Red.*



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich
Protokół posiedzenia Zarządu Związku w dniu 2 grudnia 1933 r.

Obecni pp.: Prezes gen. Kazimierz Sosnkowski, Wiceprezesi: gen. Kazimierz Fabrycy, płk. Konstanty Chłapowski, inż. Leopold Skulski, Członkowie Zarządu: red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, inż. Jan Grabowski, Witold Kitynowicz, inż. Herman Knothe, dr. Adam Lardemer,, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Władysław Słonczyński, Wacław Szperling, inż. Kazimierz Tołłoczko, mec. Aleksander Tallen-Wilczewski i Jan Żukotyński; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek obrad był następujący:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Zarządu z dnia 8-go lipca 1933 r.
2. Sprawozdanie Związku i wydawnictwa „Łowiec Polski".
3. Przyjęcie nowych Stowarzyszeń.
4. Wykreślenie Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składek członkowskich.
5. Rozpatrzenie wniosków o odwołanie delegatów powiatowych.
6. Sprawa nowelizacji prawa łowieckiego.
7. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia łowieckie.
8. Conseil International de la Chasse.
9. Sprawy bieżące.
10. Wnioski.

Protokół posiedzenia Zarządu Związku z dnia 8 lipca 1933 r. zatwierdzono bez zmian.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienia nieobecności na posiedzeniu Zarządu pp.: Juljusza hr. Bielskiego, Józefa Błeszyńskiego, Marjana Chrzanowskiego, Wojciecha hr. Gołuchowskiego, Henryka Górskiego, dr. Jana Łukowicza, min. Czesława Michałowskiego, inż. Wacława Paczkowskiego, inż. Adama Romanowskiego, Bolesława Świętorzeckiego, Franciszka Unruga i r. Józefa Żenczykowskiego.

Sprawozdanie finansowe Związku i „Łowca Polskiego" za czas od 1 stycznia do 30 listopada 1933 r. — przedstawił przewodniczącyWydziału Wykonawczego p. Szperling. Zadłużenie w ciągu tych jedenastu miesięcy zmniejszyło się o zł 10.857,12 i na dzień 1-go grudnia 1933 r. wynosi zł 5.039,08. Niezależnie od tego do zadłużenia Związku doliczy należy dług na rzecz funduszów depozytowych w sumie zł 2.608,87. Ogólny więc niedobór wynosi złotych 7.647,95. Sprawozdanie finansowe dołączone zostało do protokółu.

P. Prezes gen. Sosnkowski, w imieniu Zarządu, złożył p. Szperlingowi podziękowanie za sprawne i oszczędne gospodarowanie funduszami Związku.

Zarząd uchwalił zasadę, iż nie należy ustawać w energicznem ściąganiu składek; w każdym bądź razie wydatki bieżące Związku winny być pokrywane z dochodów bieżących.

Zarząd polecił kierownictwu „Łowca Polskiego" przedłożenie na najbliższem posiedzeniu Wydziału Wykonawczego wniosków, dotyczących sposobu ulepszenia pisma.

W łączności z częściowym udziałem Związku w kosztach lokalu, Zarząd polecił Wydziałowi Wykonawczemu przestudjowanie sprawy przekształcenia Polskiego Towarzystwa Łowieckiego w Oddział warszawski Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, oraz przedłożenie odpowiednich wniosków na najbliższem posiedzeniu Zarządu.

Zgodnie z wnioskami Wydziału Wykonawczego, Zarząd zaliczył w poczet Stowarzyszeń Związkowych:

1. Rembertowskie Kółko Łowieckie „Czapla" w Warszawie,
2. Kółko Łowieckie w Porębie k. Zawiercia,
3. Koło Myśliwskie Urzędników Ministerstwa Rolnictwa w Warszawie.

Po odczytaniu listy Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składki członkowskiej za okres roczny i dłuższy, Zarząd Związku, na wniosek Wydziału Wykonawczego, uchwalił skreślić z listy Stowarzyszeń Związkowych za niewypełnianie obowiązków statutowych (§ 14 statutu):

1. Kółko Łowieckie w Aleksandrowie k. Łodzi,
2. Kółko Myśliwskie „Raróg" w Dąbrowie Górniczej,
3. Podlaskie Kółko Myśliwskie w Janowie Podlaskim,
4. Polskie Towarzystwo Myśliwskie i Hodowli Zwierzyny Łownej w Mławie.
5. Towarzystwo Łowieckie na powiat Radomkowski w Radomsku,
6. Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Tomaszowie Lubelskim,
7. Włodawskie Towarzystwo Łowieckie we Włodawie,
8. Towarzystwo Prawidłowego Myślistwa im. św. Huberta w Wojkowicach Komornych,
9. Kółko Myśliwskie „Dziewanna" w Warszawie,
10. Towarzystwo Racjonalnego Polowania w Zamościu.

Zarząd Związku przyjął do wiadomości oświadczenie p. płk. Chłapowskiego, że Wielkopolski Związek Myśliwych wpłaci zaległą składkę na rzecz Związku w terminie do 1 kwietnia 1934 r.

Przyjęto również oświadczenie p. dr. Lardemera, że Małopolskie Towarzystwo Łowieckie dołoży starań, aby zaległą składkę na rzecz Związku uregulować możliwie najprędzej.

Zarząd Związku przychylając się do próśb Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa i Ochrony Zwierzyny Łownej w Sieradzu, oraz Koła Racjonalnego Łowiectwa w Łapach, prolongował termin

wpłaty składki członkowskiej, przypadającej od tych Stowarzyszeń za rok 1933.

Zarząd Związku uchwalił tytułem subsydjum dla Towarzystwa Hodowli Psów Myśliwskich — umorzyć przypadającą od tego Stowarzyszenia składkę członkowską za lata 1931 i 1932, w sumie 225 złotych.

Zarząd Związku, przychylając się do prośby Ostrołęckiego Towarzystwa Łowieckiego, postanowił rozłożyć zaległą składkę od tego Towarzystwa w sumie zł 300 — na 6 rat miesięcznych z warunkiem regularnego wpłacania składki bieżącej.

Zarząd skreślił z listy Stowarzyszeń Związkowych Mińsko-Mazowieckie Towarzystwo Łowieckie i Ochrony Zwierząt w Mińsku Mazowieckim, wobec likwidacji tego Stowarzyszenia.

W sprawie działalności delegatów powiatowych wypowiedzieli się pp.: płk. Chłapowski, inż. Tołłoczko, inż. Skulski, prez. Szperling i inż. Knothe.

Zarząd Związku polecił Wydziałowi Wykonawczemu zajęcie się segregacją delegatów powiatowych i przedłożenie na następnem posiedzeniu Zarządu wniosków o odwołanie nominacji delegatów, którzy nie przejawiają żadnej działalności.

P. płk. Chłapowski zgłosił wniosek o uzupełnienie regulaminu delegatów powiatowych. Redakcję tego uzupełnienia nadeśle Wielkopolski Związek Myśliwych wraz z wykazem delegatów, zakwalifikowanych do odwołania.

Zarząd Związku, na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, nadał:

1) Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

Cyrylowi Czarkowskiemu-Golejewskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny i organizacji łowiectwa;

dr. Michałowi bar. Moysa-Rosochackiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Stefanowi hr. Badeniemu — za zasługi na polu literatury łowieckiej;

Władysławowi Garapichowi — za zasługi na polu piśmiennictwa łowieckiego;

Hieronimowi hr. Tarnowskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

inż. Arturowi Groetschlowi — za zasługi na polu hodowli zwierzyny oraz na polu piśmiennictwa łowieckiego;

dr. Aleksandrowi Małaczyńskiemu — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Stanisławowi Moravetz'owi — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Adamowi hr. Stadnickiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Edwardowi Rudzińskiemu — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

2) Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Janowi Marcinkowowi — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Edmundowi Stawowczykowi — za zasługi na polu hodowli zwierzyny;

Zarząd Związku, na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych, nadał:

1) Złoty Medal Zasługi Łowieckiej:

gen. Kazimierzowi Raszewskiemu — za zasługi na polu organizacji łowiectwa;

Franciszkowi Unrugowi — za zasługi na polu organizacji łowiectwa oraz za działalność hodowlaną;

2) Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej:

Adamowi Chrastakowi, elewowi leśnemu, za pełną poświęcenia i skuteczną walkę z przestępstwami łowieckiemi; Chrastak odznaczony już był w r. 1932 Bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej.

Zarząd Związku, na wniosek delegata Radom, p. Wł. Żarnowskiego, nadał Złoty Medal Zasługi Łowieckiej Izaakowi Schützerowi, p. o. starosty grodzkiego i powiatowego w Radomiu, za specjalną pieczę nad łowiectwem, popieranie działalności delegatów powiatowych oraz energiczne i skuteczne ściganie przestępstw łowieckich.

P. gen. Fabrycy zakomunikował, że powstała myśl utworzenia stacji doświadczalnej dla broni i amunicji myśliwskiej przy stacji doświadczalnej dla broni i amunicji wojskowej w Rembertowie. Byłoby bardzo pożądane, aby Związek wziął udział w urządzeniu i prowadzeniu stacji.

P. Lisowski inicjatywę tę uważa za bardzo szczęśliwą, gdyż brak takiej stacji dawał się dotąd dotkliwie odczuć. Dlatego też bardzo jest pożądany udział Związku w organizacji stacji doświadczalnej.

P. Gędziorowski również wniosek ten gorąco poparł.

Zarząd Związku wniosek p. gen. Fabrycego przyjął z wdzięcznością i upoważnił Wydział Wykonawczy do porozumienia się w tej sprawie z inicjatorami.

P. Prezes gen. Sosnkowski podał do wiadomości, iż Rząd wyraził zgodę na urządzenie zjazdu Conseil Internationale de la Chasse w Warszawie z wiosną r. 1934. Termin zjazdu wyznaczony został na dzień 18 kwietnia.

Przygotowania organizacyjne są już rozpoczęte; prowadzi je, zgodnie z uprzednio powziętą uchwałą, p. M. hr. Potocki. Na zjeździe Conseil I. C. wygłoszone będą referaty, z których część przypadła do opracowania Polsce.

W związku z ustaleniem terminu zjazdu C. I. C., Zarząd uchwalił zorganizować pokaz trofeów łowieckich w czasie zjazdu.

Projekt organizacji pokazu opracował p. inż. Knothe.

P. płk. Chłapowski zwrócił uwagę na konieczność wyjednania u władz całkowitego zwolnienia od kosztów za przewóz koleją eksponatów na pokaz. Nadto p. płk. Chłapowski uważa, że tarcze, jako najwyższe nagrody na pokazie, powinny być tylko złote, nie zaś złote, srebrne i bronzowe.

W dyskusji zabierali głos jeszcze pp.: inż. Knothe, Gędziorowski i płk. Chłapowski.

Zarząd Związku uchwalił przyjąć projekt p. inż. Knothego, jako główną podstawę organizacji pokazu, pozostawiając Komitetowi pokazu ustalenie szczegółów i opracowanie kalkulacji. Komitetowi pokazu polecono starania o jak najdalsze zniżki kolejowe, przyczem upoważniono Komitet do ewentualnego pokrycia kosztów przewozu eksponatów.

Do Komitetu organizacyjnego Pokazu Trofeów Łowieckich Zarząd powołał pp.: gen. Fabrycego — jako przewodniczącego, oraz inż. Knothego i Skrzypka, z prawem kooptacji dalszych członków.

Przewdniczący Wydziału Wykonawczego p. Szperling podał do wiadomości Zarządu, że zgodnie, z uchwałą Walnego Zgromadzenia, Wydział Wykonawczy powołał do życia ścisły Komitet redakcyjny „Łowca Polskiego" w osobach pp.: red. Garczyńskiego, Dylewskiego i Zabiełły.

Na tem porządek obrad został wyczerpany.



Z powodu strajku drukarzy we Lwowie nie mogliśmy wydać numeru w dniu 16 stycznia b. r. Wydajemy obecnie numery 2 i 3 razem. Numer 4 wyjdzie 16 lutego.

W dalszym ciągu na Ołtarz Św. Huberta złożył p. Jacek Rozwadowski zł. 10.

TREŚĆ NUMERU 2—3:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32